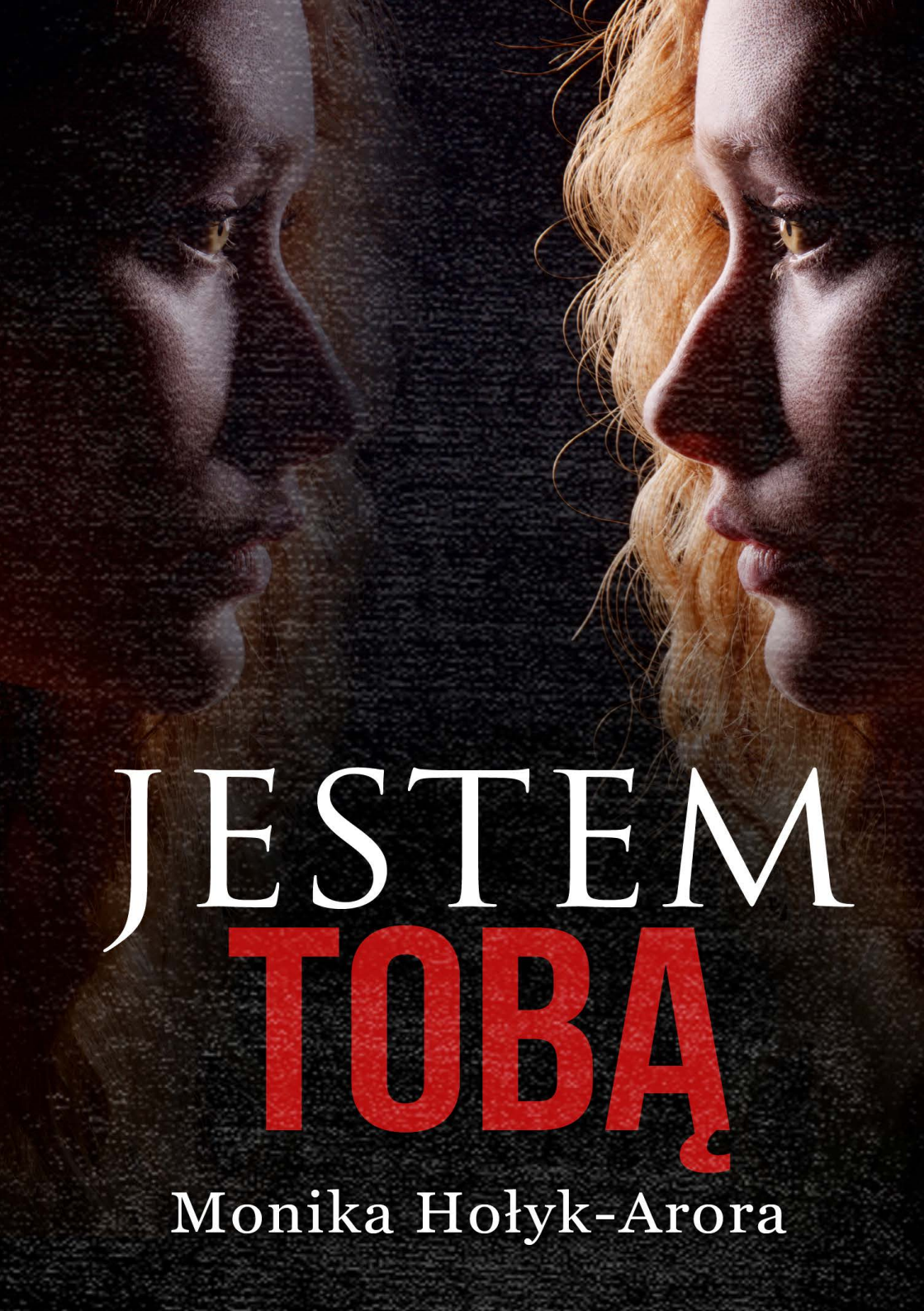




JESTEM TOBĄ

Monika Hołyk-Arora

Monika Hołyk–Arora

JESTEM TOBĄ

© Copyright by Monika Hołyk-Arora & e-bookowo
Projekt okładki: Lan Gao

ISBN e-book 978-83-7859-937-1

ISBN druk 978-83-7859-938-8

Patronat medialny:



Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2018

[Kup książkę](#)

Prolog

Oczy. Ogromne. Przerażająco zimne i nieziemsko piękne. Lekko przekrwione. Ze źrenicami rozszerzonymi do granic możliwości. Wpatrywały się w nią z całą swą intensywnością, znajdując się zaledwie kilka milimetrów od niej. Ich wyraz zdradzał, że ostatnia iskierka życia już dawno w nich zgasła.

Pomyślała, że to jedynie jakiś koszmar, dlatego też mocno zacisnęła na chwilę powieki, szepcząc bezgłośnie:

– Proszę, niech to będzie sen! Zły sen, jaki śni się po ciężkim dniu...

Niestety jej modlitwa przepadła w nicości, zanim mogła zostać wysłuchana. Gdy na powrót otworzyła oczy, dostrzegła te same stalowoniebieskie, martwe tęczęwki wpatrujące się w nią w swej drodze ku wieczności.

Wzięła długi, powolny wdech. Próbowwała w ten sposób wypełnić płuca tlenem, magiczną, niewidzialną substancją gwarantującą jej zachowanie spokoju. Usiłując zdławić rodzący się w krtani krzyk przerażenia, odsunęła się od leżącego obok niej ciała... I właśnie wtedy, po raz pierwszy, przyjrzała się dokładnie licu stanowiącemu tło dla pary niesamowitych, zgasłych już oczu.

Lekko zarysowana szczeka i wysoko osadzone kości policzkowe nadawały obliczu nieznajomej niepokojąco znajomych rysów twarzy. Łuki czaszki, łagodnie przechodząc w skronie i niewielkie czoło, sumowały się na jej własną podobiznę.

To nie mogę być ja – podpowiadał zdrowy rozsądek. – Przecież ja żyję! A jednak, wbrew wszystkim prawom logiki, dotknęła dłonią swego policzka, spodziewając się, że kobieta po drugiej stronie niewidzialnego lustra dokona tego samego. Niestety jej ręka pozostała niewzruszona.

Leżąc na zimnej, kamiennej posadzce, nieznana jej niewiasta nadal wpatrywała się w pustą przestrzeń, nie mogąc podążyć za nią wzrokiem.

Nie wiedziała, co robić. Krzyczeć? Uciekać? Nie miała zbyt wielu możliwości, a te dostępne wydawały się jej niewłaściwe. Jedynie chłodna kalkulacja mogła pomóc należycie ocenić niecodzienną sytuację, w której się znalazła. Istniały zaledwie dwie możliwości – albo zupełnie oszalała, nie mogąc dostosować się do rygoru więzienia dla kobiet, w którym rok temu została osadzona, albo po prostu śniła jakiś niewytłumaczalnie schizofreniczny sen, z którego miała za chwilę się obudzić.

Tak. Nadal, wbrew faktom, pragnęła wierzyć, że to tylko mara nocna, która w jakiś niezrozumiały dla niej sposób miała oczyścić nadwątloną psychikę. Zarówno zamknięty ośrodek karny, jak też wewnętrzne reguły rządzące się wpły-

wami, przemocą i gotówką przemycaną przez współwięźniarki, były dla niej ogromnym obciążeniem.

Potrząsnęła nerwowo głową, próbując zapanować nad rozbieganymi myślami, które zbaczały z głównego toku rozumowania, rozpierzchając się we wszystkich możliwych kierunkach. Ponownie spojrzała na martwe ciało leżące zaledwie metr od niej. Dopiero wtedy spostrzegła, iż spowite było w prostą, białą, zapewne szpitalną koszulę nocną jakie widywała na filmach oglądanych w więziennej świetlicy.

Powoli przesunęła wzrok, zupełnie jakby gwałtowny ruch mógł obudzić trupa. Z zaciekawieniem zerknęła na zgrabną łydkę nieboszczki, nieosłoniętą żadnym skrawkiem cienkiego materiału. Lśniąca skóra nadal wydawała się miękka, jak gdyby ktoś dopiero co wmasował w nią balsam nawilżający. Nie to jednak przykuło jej uwagę. Najszybciej bowiem zauważa się braki. W wizerunku nieznajomej brakowało tatuażu zdobiącego ją samą.

– Czyli jednak nie zwariowałam – pomyślała z ulgą. – To nie jestem ja! Nie oglądam martwej siebie z jakiejś dziwnej perspektywy ulatującej duszy.

Teraz była już pewna. Nie mogła zaprzeczać faktom. Trzy miesiące temu dziewczyna z celi obok, maszynką ‚domowej roboty’, wydziergała jej całkiem zgrabną rybę Koi – symbol odrodzenia w japońskiej mitologii.

Bezwiednie, niemal instynktownie, dotknęła własnej łydki, pobolewającej ją do tej pory ze względu na zakażenie,

które wdało się zaraz po przeprowadzonym zabiegu upięk-
szającym.

Strupy, które do tej pory wyczuwalne były pod delikat-
nymi opuszkami palców, zniknęły. Z przerażeniem równym
odkryciu zwłok leżących na wyciągnięcie ręki, poderwała się
z podłogi tylko po to, by obejrzeć własną nogę. Była alaba-
strowo gładka i nienaruszona przez żadną igłę, a tym bardziej
atrament przemycony w paczce żywnościowej!

Tego było już za wiele. Nawet nie poczuła, kiedy z jej
gardła wyrwał się przeciągły krzyk przypominający wycie
zranionego, dzikiego zwierzęcia. Tak wysoki i przejmujący, że
przez chwilę z obawą obserwowała szklaną próbkówkę niebez-
piecznie chyboczącą się na stoliku w rogu pomieszczenia. Po
chwili zamilkła. W sali ponownie zapanowała cisza. Instynkt
podpowiedział jej bowiem, że nie powinna swoją obecnością
zwracać niczyjej uwagi. Nie miała ochoty zostać osądzona za
morderstwo!

– Spokojnie! – szepnęła, rozglądając się. – Musisz zrozu-
mieć, gdzie i dlaczego jesteś... Myśl! – nakazała sobie bez-
głośnie.

Obserwacja była najlepszym sposobem na właściwe zin-
terpretowanie sytuacji. Skoncentrowała się, by móc właściwie
przetworzyć dostępne jej dane. Zaczynała dostrzegać coraz
więcej szczegółów sterylnie białego pomieszczenia. Meble,
sprzęty i wszechobecną bezosobowość. Całość składała się
na całkiem przeciętną salę szpitalną, urządzoną ogromnym

kosztem, ale jednocześnie bardzo oszczędną w swej formie.

Niewielkie łóżko, mała szafka nocna, mikroskopijnych rozmiarów stolik, na który zwróciła uwagę chwilę temu. Elektroniczne maszyny podtrzymujące przy życiu, pikające tak rytmicznie, iż do tej pory nie zauważyła ich obecności.

Na koniec dostrzegła też ogromne, dwuskrzydłowe drzwi wykonane z mlecznobiałego, nieprzepuszczającego światła szkła. Podnosząc się z podłogi, dostrzegła w nich swoje odbicie. Chociaż jej sylwetka była nieco zniekształcona, dostrzegła, że ubrana była w szpitalną koszulę podobną do tej, którą miała na sobie martwa kobieta leżąca na zimnej marmurowej posadzce zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niej.

Jednego mogła być pewna. To nie było więzienie w Grudziądzu! Nie pamiętała co prawda jak ono wyglądało, ale właśnie to miejsce było jedynym, jakie potrafiła wymienić chociażby z nazwy. Poza tym jednym szczegółem, wspomnieniem tatuażu i męża, którego usiłowała zabić, w jej głowie tkwiła pustka. Czarna nicość, która nie pozwalała jej przypomnieć sobie chociażby imienia ukochanego psa, jeśli w ogóle takiego kiedykolwiek posiadała!

Jeszcze raz spojrzała na ciało swojego sobowtóra i przeżona usiadła na podłodze w najdalszym rogu sali. Wsluchując się w przyspieszony rytm własnego serca, oczekiwała na dalszy bieg wydarzeń.

Rozdział I

Siedząc na niewygodnym, plastikowym krześle, raz po raz zerkła na mężczyznę znajdującego się po drugiej stronie stołu. Z pewnością przekroczył już czterdziesty piąty rok życia. Być może nawet niedawno stuknęła mu pięćdziesiątka. Ciemne, szpakowate włosy coraz bardziej traciły swój kolor, ustępując miejsca siwiźnie świadczącej nie tylko o zaawansowanym wieku, ale przede wszystkim o doświadczeniu życiowym, które zdobył przez lata. Spoglądał na nią swoimi szarymi, świdrującymi oczyma, próbując wnikać w głąb jej umysłu. Zupełnie jakby posiadał dostęp do tej części jej mózgu, która dla niej samej od kilku godzin pozostawała tajemnicą.

– Naprawdę nic nie pamiętasz? – spytał jeszcze raz, nie dowierzając.

Nie siliła się na słowną odpowiedź. Miała już po dziurki w nosie odpowiadania ciągle od nowa na to samo, bezdennie głupie pytanie. Po prostu pokręciła przecząco głową, żywiąc nadzieję, że ten prosty gest zostanie właściwie zrozumiały.

– To niemożliwe! – stwierdził w końcu zniecierpliwiony mężczyzna. – Powinnaś coś pamiętać! Cokolwiek!

Nerwowo wciągnęła powietrze, mając ochotę wrócić do swojej sali, nawet jeśli nadal znajdowały się tam upiornie podobne do niej zwłoki. Tam bowiem mogła przynajmniej zaznać spokoju i zignorować pytania, na które nie potrafiła udzielić odpowiedzi.

– Pamiętam więzienie w Grudziądzu – szepnęła w końcu. – Nie jako miejsce samo w sobie... Jedynie jego nazwę. Chyba tam przebywałam – dodała łamiącym się głosem. – Jakies mgliste wyobrażenie męża, którego próbowałam zabić... Nie, to nawet nie jest wspomnienie. To raczej fakt, który utkwiał gdzieś głęboko w świadomości. I ryba koi, wytatuowana na mojej łydce...

Mężczyzna odetchnął z ulgą tak bardzo widoczną, że nawet nie próbował jej ukryć. Mogłaby przysiąc, iż niemal się przy tym uśmiechnął.

– Świetnie!

Spojrzała na niego, zaskoczona. Nie była może wprawnym psychologiem, chociaż może i była, jednak jej zdaniem zachowanie mężczyzny było nad wyraz dziwne. Kto bowiem, będąc przy zdrowych zmysłach, ucieszyłby się na wieść o tym, iż prawdopodobna zabójczyni siedzi tuż przed nim? Postanowiła mniej mówić, a więcej słuchać. W ten sposób mogła dowiedzieć się czegoś zarówno o sobie samej, jak i o miejscu, w którym się znalazła.

– Inga. Mogę tak do ciebie mówić? – nieznajomy zagaił w tym czasie przyjacielsko, rozsiadając się wygodniej w zajmowanym przez siebie krześle.

– Nie wiem – skłamała. – A chciałbyś?